

Cóżeś ty za Pani

Srebrzące się kroplami rosy, nie skoszone łąki, zaczynał rozjaśniać mglisty, jesienny poranek. Zasychające łęty nie wykopanych ziemniaków i na pół skoszone zboża na chłopskich zagonach mówiły o zamierającym życiu.

Tylko jabłonie i węgierki wokół łowickich strzech, słomą krytych, obrodziły wyjątkowo dorodnie... i jakżeż smacznie i chciwie były przez nas pożerane. Po drodze wszędzie ślady niedawnej walki. Na pół spalone wraki pancernych wozów, porzucony sprzęt wszelaki i hełmy, porozrzucane wokół ludzi leżących już nieruchomo w najdziwniejszych pozycjach.

W jednej chwili promienie wschodzącego słońca przebiły się przez mgłę poranną, oświetlając krajobraz tej łowickiej ziemi. I teraz można było dostrzec, że te porozrzucane hełmy są obcych i większych kształtów, a ludzie z powykrzywianymi w śmiertelnych skurczach twarzami, mają mundury szare, akurat tak szare, jak ich zastygłe twarze.

Leżący na wznak byli spokojni. Z szeroko otwartymi oczami, wpatrzeni w niebo im obce, zginęli nieświadomi nawet chwili własnej śmierci. Leżący z twarzą do ziemi konali widać niełatwo, bo ich palce wbite były kurczowo w ziemię, a ciała dziwacznie powykrzywiane konwulsjami.

Ustępująca mgła coraz szerzej odsłaniała obraz niedawnego zdarzenia, ukazując coraz więcej żelaznego złomowiska i ludzkich strzępów, również i w zielonych mundurach. Wczorajsi przeciwnicy leżeli teraz spokojnie obok siebie, jakby pojednani wspólnym nakazem śmierci.

I oto byłem świadkiem może jedyne w tej wojnie epizodu. Drogą ku wsi nadjeżdżały w odstępach dalsze oddziały. Wzorowa dyscyplina marszowa i regulaminowy dosiad konia, przypominałyby manewry, gdyby nie szerniały twarze jeźdźców i zapadnięte końskie boki. Wjeżdżaliśmy właśnie do nie spalonych jakimś cudem zabudowań w rozbudzony już słoneczny poranek złotej, polskiej jesieni.

I wtem ktoś zaczął, a wszyscy podchwycili natychmiast:

„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani
że za Tobą idą, że za Ciebie giną
chłopcy malowani
sami wybierani...”

Wojenko, wojenko, szanuj swych rycerzy,
bo kto Cię pokochał, bo kto Cię pokochał,
ten już w grobie leży.
Z dala od rodziny
A po nim pozostał, a po nim pozostał
Cichy płacz dziewczyny...”

I znów śpiewamy jak na ćwiczeniach. Z okien domów wychylały się twarze mazowieckich chłopów. Patrzyli na nas jak urzeczeni. Wielu, nie tylko kobiety – miało łzy w oczach. Prześcigali się wzajemnie w rozdawaniu naprędce wyniesionego mleka i kromek chleba. Bez wielkich słów, ale z jakże głęboką treścią wymalowaną na ich twarzach: Polska swym obrońcom.

Ale śpiew urwał się nagle, bo od czoła rozjazgotały się już długimi seriami karabiny maszynowe, zwiastujące bliskość nieprzyjaciela. Wyciągniętym kłusem opuszczaliśmy wieś, by i tym razem ominął ją pożar. Towarzyszył on nam niezmiennie – jak od wielu już dni – zapach spalenizny. Tak charakterystyczny i do dziś pamiętny każdemu, kto przeżył tamte dni.

*Maciej Rembowski
Poznań, 1988 r.*